LOKALNIE · ANALIZA

ROK PO „POLSKIM MAJU 1968". DLACZEGO? CO DALEJ?

Kacper Kita · 8 lutego 2022



Niedawno minął rok od opublikowania wyroku Trybunału Konstytucyjnego, który potwierdził niekonstytucyjność dzieciobójstwa prenatalnego osób ciężko chorych, przypominając analogiczne orzeczenie TK z 1997 r. Protesty przeciwko tej decyzji, delegalizującej tzw. aborcję eugeniczną, były dotychczasowym apogeum wojny cywilizacyjnej, która trwa w Polsce od co najmniej kilku lat i wydaje się nieodwracalnie zamykać epokę III RP, gdzie podziały były wyznaczane dotychczas przez zupełnie inne kwestie. Czy jesień 2020 r. będzie kiedyś wspominana jako cezura w dziejach naszego kraju, podobnie jak paryski maj 1968 r.? A jeśli tak, to jaką erę rozpocznie?

Kto zaczął?

To pytanie, które pamiętamy ze szkoły, ale także w polityce często służy jako wymówka. „To nie my, to tamci!", czyli najprostszy sposób, by zrzucić z siebie odpowiedzialność za konflikt, który również często jest wykorzystywany w grze politycznej. Wielu przedstawicieli środowisk prawicowych, narodowych i patriotycznych – i to bardzo różnych, nie tylko tych bardziej „centrowych" i „umiarkowanych" – obwinia Jarosława Kaczyńskiego. Wielu osobom wydaje się, że prezes PiS-u decydując o zwiększeniu prawnej ochrony życia nienarodzonego, niepotrzebnie podgrzał konflikt i przyczynił się do pogłębienia podziałów we

wspólnocie politycznej. Nie chodzi tu zresztą tylko o sprawę wyroku TK. Jest faktem, że od maratonu wyborczego 2018-2020 kwestie katolicko-obyczajowe zaczęły odgrywać pierwszoplanową rolę w przekazie partii rządzącej oraz głównych sił opozycji. Wszyscy wiemy, o co chodzi – tzw. aborcja, LGBT, Kościół. Często podnoszony jest też tzw. argument wahadła – rzekomo politycy przesuwający się na umowne prawo powodują w dłuższej perspektywie odbicie społeczeństwa w umowne lewo. Zakazujący aborcji TK, straszącą LGBT TVP oraz mówiący o alternatywie etyki katolickiej i nihilizmu Kaczyński mają odstraszać „normalnego", głębiej niezaangażowanego politycznie odbiorcę od tradycyjnych wartości, a w konsekwencji powodować liberalizację społeczeństwa.

Zdaniem piszącego te słowa jest to myślenie zdecydowanie błędne i szkodliwe. Jaka jest bowiem alternatywna propozycja? To oczywiste – bierność. Pielęgnowanie czy też konserwowanie *status quo*, które przecież nie jest takie złe. Zajmowanie się wyłącznie innymi kwestiami niż te tzw. światopoglądowe w nadziei, że inni zrobią to samo. Ludzie myślący w taki sposób nie rozpoznają jednak prawidłowo rzeczywistości dzisiejszego Zachodu. Rzeczywistości, która nie jest w żaden sposób „neutralna światopoglądowo". Istotą współczesnej demokracji liberalnej jest, jak sama nazwa wskazuje, paradygmat liberalny. Moralność publiczna może pozostawać niezmienna albo przesuwać się jedynie na lewo wraz z odkrywaniem przez funkcjonalną arystokrację kolejnych „generacji praw człowieka". Po wprowadzeniu związków partnerskich „naturalną" konsekwencją są „małżeństwa" jednopłciowe, potem adopcja dzieci etc. To droga w jedną stronę, co pokazują jednoznacznie doświadczenia państw Europy i Ameryki. Nacisk na dalsze przemiany absolutnie nie maleje wraz z ustępstwami. Nie chodzi tu tylko o kwestie litery prawa. Z przemianami ustawowymi ściśle związana jest inżynieria społeczna, w którą zaangażowane są zgodnie demoliberalne media, politycy, wielkie koncerny, plutokracja, popkultura. Wszystko to w imię coraz dalej posuniętych praw kolejnych jednostek kwalifikowanych przez funkcjonalną arystokrację jako „członkowie mniejszości wymagający ochrony". Moralność publiczna oparta na chrześcijaństwie, która tworzyła fundamenty państw cywilizacji zachodniej przez ostatnie tysiąc siedemset lat, zastępowana jest liberalną, permisywną cnotą nihilizmu, mającą prymat nad dobrem wspólnym społeczeństwa czy narodu jako całości. Prawa członków „mniejszości" jako jednostek są z zasady ważniejsze od interesu narodowego czy dobra wspólnoty.

Rzeczywistość, w której funkcjonujemy, nie jest neutralna. To nie Jarosław Kaczyński zdecydował o „rozpętaniu w Polsce wojny" na tym tle. Naprawdę chyba każdy obserwator polskiej sceny politycznej, niezależnie od poglądów, powinien być w stanie dostrzec, że prezes Kaczyński nigdy nie był „katolickim kontrrewolucjonistą". Owszem posługuje się zarządzaniem przez konflikt, ale przez całą karierę starał się być pragmatycznym centrystą. Przywiązanym do pewnego systemu wartości zwolennikiem wzmocnienia władzy wykonawczej kosztem pozostałych, ale starającym się pozostać w łączności z głównym nurtem europejskiej polityki. Polskim Adenauerem, nie polskim Franco. Hasłem pierwszego kanclerza RFN było „Keine Experimente" – „żadnych eksperymentów". Na przesadne eksperymenty nigdy nie miał ochoty również wieloletni szef PiS-u. Na temat przemian w Polsce i Europie, które poniekąd mimo woli obecnego rządzącego obozu zaangażowały go w konflikt cywilizacyjny i dwóch głośnych wyroków TK, pisałem szerzej w swoim poprzednim tekście. Zestawiałem w nim również obecnego wicepremiera ze wspomnianym Adenauerem i generałem de Gaulle'em, o którym będzie dziś jeszcze mowa.

CZYTAJ TAKŻE: Polska i Europa od wyroku TK do wyroku TK

To nie Jarosław Kaczyński zaczął. Gdyby to zależało tylko od niego, *status quo* spokojnie by trwało. Prze-

cież nie ruszał sprawy życia nienarodzonego przez 5 lat rządów, mimo naprawdę silnych nacisków wewnętrznych i zewnętrznych. Na tej samej zasadzie wojny Kościołowi nie chciał wypowiadać Adam Michnik. Kreatorzy obu głównych obozów III RP nie chcieli likwidować tradycyjnych linii konfliktu. Sprawy wymknęły się jednak spod ich kontroli. Wyczerpywanie się „starych" tematów, takich jak stosunek do PRL i transformacji, nałożyło się z przemianami mentalnymi dokonującymi się w polskim społeczeństwie za pośrednictwem zachodnich mediów, zachodniej popkultury i zachodniego kapitału.

Październikowy szok

Prezes Kaczyński zdecydował się w końcu załatwić sprawę życia nienarodzonego w najwygodniejszym dla siebie momencie, czyli kilka miesięcy po zakończeniu maratonu wyborczego, mając perspektywę trzech lat bez chodzenia do urn. W sprawie tzw. aborcji eugenicznej naciskali na niego jednocześnie posłowie i działacze własnej partii, biskupi oraz liczni publicyści katoliccy i konserwatywni. Do tego dochodziła „narodowa" część Konfederacji, która rok wcześniej weszła do Sejmu po 12 latach hegemonii PiS-u na prawicy i której znany z osobistego przywiązania do kwestii ochrony życia nienarodzonego kandydat dopiero co uzyskał bardzo dobry wynik w wyborach prezydenckich. Październikowy termin ogłoszenia wyroku był wygodny również ze względu na pandemię koronawirusa.

Żyjemy w momencie, w którym dorosło pierwsze od kilkuset lat pokolenie Polaków, które nie zna wojny ani braku niepodległości. Jednocześnie doświadcza stosunkowo wysokiego komfortu materialnego oraz jest bombardowane popkulturą przesiąkniętą hedonizmem i egoizmem. Do tego dochodzi wiele potęgujących wykorzenienie i atomizację zjawisk, takich jak rozpad rodzin, kryzys Kościoła czy banalnie łatwy dostęp do pornografii.

Wyrok TK sam w sobie nie dokonał żadnej głębokiej przemiany w młodych Polakach. Był tylko pretekstem, wisienką na torcie. Wyciągnął na światło dzienne procesy, które zachodziły od wielu lat. Czy ktoś wierzy, że ludzie w jednej minucie stali się gotowi bezcześcić kościoły, bo zakazano zabijania dzieci z Downem? Nie, oni wyszli na ulicę, ponieważ nie nauczono ich, że istnieje jakaś niepermisywna moralność obowiązująca członków cywilizowanej wspólnoty. Ci ludzie i te postawy nie pojawiły się z dnia na dzień. Ludzie byli przez lata wykorzeniani oraz urabiani przez media i popkulturę, zatruwani permisywizmem. Przecież LGBT było jednym z głównych tematów kampanii prezydenckiej kilka miesięcy wcześniej. Głośny tekst Marcina Kędzierskiego o rozpadzie katolickiego imaginarium też był wcześniej.

„Kompromis wojtyliański" – zgrabna fraza Marka Jurka – był akceptowalny dla Jarosława Kaczyńskiego i Adama Michnika, dwóch politycznych pragmatyków. Dwóch intelektualistów wychowanych i ukształtowanych w świecie, w którym polskie i europejskie kody kulturowe były czymś oczywistym. Jan Paweł II był autorytetem, a chrześcijańska moralność obecna w przestrzeni publicznej była niezaprzeczalnym faktem. Ten kompromis upadł, ponieważ III RP wychowała pokolenie ukształtowane po 1989 r. w pustce aksjologicznej. Elementarne kody kulturowe i wartości, które formowały poprzednie dziesiątki pokoleń Polaków, nie zostały mu przekazane. Nie stworzono modelu wyrzeczeń dla wyższych celów lub dobra wspólnego w warunkach pokoju, niepodległości i materialnego komfortu.

Młodzi ludzie biorący udział w tzw. Strajku Kobiet są politycznie i kulturowo obcy zarówno Jarosławowi Kaczyńskiemu, jak i Adamowi Michnikowi. Obaj są dla nich „dziadersami". Michnik mówi, że dla niego kazanie na górze jest moralnym kompasem – a oni w większości zapewne nie wiedzą, co to jest. Interesuje ich to samo, co studentów podczas paryskiego maja 1968 r. Ich hasło to „zabrania się zabraniać". Pato-

logiczny indywidualizm prowadzi do uznania zasady konsekwentnej prywatyzacji moralności. Chodzi o wyeliminowanie moralności publicznej, bo jest opresyjna. Jest to sprzeciw wobec elementarnych reguł cywilizowanego społeczeństwa.

Oznacza to odrzucenie kodów kulturowych i wartości, które formowały Polaków, odkąd istnieje coś takiego jak Polska. Przykładowo kilka miesięcy temu w mediach społecznościowych sporą popularnością cieszył się wpis kobiety identyfikującej się przez hashtagi #WolneSądy i #PiSoff. „Moja córka właśnie mi napisała, że jako lekturę mają przeczytać Biblię. Zapewne nie całą tylko fragmenty ale WTF? W świeckiej szkole? No kurła po moim trupie".

CZYTAJ TAKŻE: Kaczyński łamie własne polityczne DNA

To tylko jeden z wielu przykładów na to, że istotą programu współczesnej permisywnej rewolucji jest wykorzenienie Polaków i dechrystianizacja przestrzeni publicznej. Odcięcie obecnych i przyszłych pokoleń od cywilizacji, w której funkcjonowały wszystkie poprzednie pokolenia Polaków. Dokonujący agresji na dorobek cywilizacji i cywilizowane normy współżycia są przekonani, że to oni są ofiarami, które zostały zaatakowane. Na przykład część z tych ludzi myśli, że fragmenty Biblii do lektur szkolnych wpisał straszny minister Czarnek, podczas gdy w rzeczywistości wszystkie poprzednie pokolenia Polaków, odkąd istnieje coś takiego jak Polska, a w Polsce istnieje coś takiego jak szkoła, w ramach nauki zapoznawały się z Biblią, fundamentem naszej cywilizacji.

Dobrobyt nie wystarczy

Podobnie było we Francji w 1968 r. Wyrosło pierwsze od dawna pokolenie, które nie znało wojny, rewolucji, wyrzeczeń, walki o niepodległość i okupacji. Pokolenie ich rodziców – tak jak pokolenie rodziców młodych z tzw. Strajku Kobiet – chciało im zapewnić komfort materialny i stabilność, których sami nie mieli. To się im w znacznym stopniu udało. Francja między 1945 a 1968 to kraj szybko się bogacący i rozwijający, podobnie jak Polska między 1989 a 2020. Nie bez powodu we Francji pierwsze trzy dekady po wojnie nazywa się *Trente glorieuses* – Trzydzieści lat wspaniałych.

Sami rodzice, oprócz zapewnienia swoim dzieciom wygodnego życia, chcieli odpocząć. Wielu chciało budowy Europy, zjednoczonej, w której nie będzie już więcej wojen ani okupacji, hitleryzmu ani komunizmu. Wielu było francuskimi – a dziś polskimi – patriotami. Dla tych Francuzów – rodziców studentów z 1968 r. – fundamentem tożsamości był *mythe résistancialiste.* Mit ruchu oporu, bohaterskiego sprzeciwu wobec niemieckiego okupanta, często połączony z oddaniem generałowi de Gaulle'owi, jako przywódcy z czasów wojny, do którego zwrócili się również w chwili kryzysu w czasach pokoju. Dla polskich patriotów fundamentem tożsamości był analogicznie antykomunizm. Mit bohaterskiego oporu wobec PRL i narzuconej przez sowieckie czołgi władzy. Jeden i drugi mit okazał się nieprzekazywalny w warunkach pokoju i komfortu niewymagającego zbiorowego wysiłku analogicznego do oporu wobec Niemców czy Sowietów. Dla przeciętnego dwudziestokilkulatka Czesław Kiszczak i Wojciech Jaruzelski należą do przeszłości, tak samo jak Kazimierz Wielki. To normalne. Tak samo młodzi Francuzi w 1968 r. krzyczeli „de Gaulle do muzeum".

> To jest kluczowy wniosek. Polityczna bierność, konsumpcja i stabilność materialna nie jest atrakcyjnym programem, za pomocą którego da się zatrzymać antycywilizacyjną rewolucję. Przecież

> ci młodzi ludzie demonstrujący jesienią 2020 r., tak samo, jak studenci w maju 1968 r., nie doświadczyli żadnej prawdziwej katastrofy. Przeciwnie – krzyczą „to jest wojna", „jebać PiS" czy porównują Kaczyńskiego (w 1968 de Gaulle'a) do Hitlera, bo są pokoleniem funkcjonującym w komfortowych warunkach materialnych i w bezpiecznym, stosunkowo zamożnym kraju, podczas gdy ich rodzice doświadczyli prawdziwej wojny lub komunizmu.

Maj 1968 miał miejsce we Francji również dlatego, że w dorosłość weszły dzieci żołnierzy, uczestników ruchu oporu i zwykłych ludzi doświadczonych wojną. Podobnie jak dziś w Polsce dorosły dzieci ludzi uformowanych w PRL-u. Francuzi przez powojenne dwadzieścia kilka lat, podobnie jak Polacy przez ostatnie trzydzieści, włożyli ogromny wysiłek w rozwój gospodarki, odbudowę kraju, budowę dobrobytu i stabilności. Jedni i drudzy chcieli, żeby ich dzieci miały lepszy od nich start w przyszłość. To się rzeczywiście udało.

CZYTAJ TAKŻE: Wyrok Trybunału Konstytucyjnego nie ma tu nic do rzeczy...

Problemy są jednak co najmniej dwa. Po pierwsze, dobrobyt degeneruje. Tak po prostu jest, tak było zawsze. W całej historii świata znajdziemy przeplatający się cykl pokoleń naprzemiennie oszczędzających. Znakomicie pokazuje to też eksperyment Calhouna na szczurach. Marzenie o szczęściu, które zapewni ludzkości dobrobyt i komfort materialny, opiera się na tym samym błędzie antropologicznym, co marzenie o szczęściu, które zapewni ludzkości wyzwolenie z narzucanej społecznie moralności.

> Dzisiejsi młodzi Polacy też chcą mieć swoją walkę, tak jak ich rodzice mieli swoją. Chcą uczestniczyć w czymś wielkim, większym niż banalna codzienna konsumpcja. Chcą mieć swój bunt. Stąd podniosłe hasła, takie jak „To jest wojna!".

Też chcą uczestniczyć w czymś istotnym. Jeśli mają do wyboru beztroską konsumpcję lub zaangażowanie w rewolucję, to wybierają (oczywiście mniej lub bardziej świadomie) komfort konsumpcji, do którego dorzucają zaangażowanie w walkę z wyimaginowaną opresją. Idą na protest często bez większej świadomości. To modne, tak wypada, koleżanki też idą. Na miejscu mogą sobie zrobić zdjęcie i wstawić je na Instagrama, potem nałożyć nakładkę na zdjęcie profilowe na Facebooku, po czym wrócić do swojego życia, które kręci się wokół konsumpcji, gier, zabaw i imprez.

Pokolenie wychowywane w pustce aksjologicznej będzie w większości wybierało to, co najprostsze, modne, podsuwane pod nos na każdym kroku. A prawica chciała najpierw sprawiedliwości na wrogach sprzed 20, 30 czy 50 lat. Potem chciała po prostu materialnej stabilizacji dla siebie i swoich rodzin.

> Tęczowa flaga LGBT, coraz częściej obecna na ulicach największych polskich miast, nie reprezentuje w pierwszej kolejności afirmacji homoseksualizmu. Reprezentuje przede wszystkim prywatyzację moralności i permisywizm. Jeśli ja mam na coś ochotę, to mam do tego moralne prawo, za to nikt nie ma moralnego prawa mnie oceniać.

Wielu noszących tęczowe flagi lub torby, zapewne szczerze wierzy, że chodzi jedynie o „umożliwienie parom jednopłciowym normalnego życia". Że wystarczy wyeliminować społeczną i kulturową presję na tworzenie przez ludzi stabilnych związków składających się z jednej kobiety i jednego mężczyzny, żeby każdy mógł po prostu robić to, co chce i być szczęśliwy. Problem polega na tym, że człowiekowi robienie tego, na co ochotę, nie daje szczęścia. Człowiek potrzebuje tej społecznej i kulturowej presji, żeby dobrze funkcjonować, bo bez niej człowiek zazwyczaj sam z siebie dąży do autodestrukcji. Bez społecznej i kulturowej presji człowiek najchętniej by nie pracował ani się nie uczył, spał do południa, pił alkohol ze znajomymi, obżerał się pizzą, chipsami, słodyczami i lodami, grał w gry komputerowe, próbował używek, masturbował się przy pornografii i uprawiał przypadkowy seks bez zobowiązań (o ile miałby z kim).

Oczywiście w ludziach jest też ambicja. Wiele osób, mimo niesprzyjających warunków, jest w stanie podźwignąć się ze swoich słabości i zmusić do wysiłku. Często zmusza ich do tego po prostu konieczność zdobycia środków do przeżycia. Nie każdego rodzice są w stanie długo utrzymywać. Ideałem Zachodu po 1968 roku, którym dziś nasączają Polaków zachodnie media, popkultura i kapitał, jest jednak wieczne dzieciństwo. Odkładanie odpowiedzialności i infantylny bunt przeciwko wszelkim zobowiązaniom połączone z robieniem z siebie ofiary i utopijnymi rojeniami o bliżej nieokreślonym lepszym świecie. Hymnem tego zdziecinniałego Zachodu, który boi się dorosnąć, jest „Imagine" Lennona. Pisałem o tym szerzej wcześniej:

CZYTAJ TAKŻE: Pod rządami Piotrusia Pana. Dlaczego świat jest taki zły i skomplikowany?

Kontrofensywa jest bezalternatywna

Jesteśmy w lepszej sytuacji niż Francuzi 50 lat temu, bo duża, jakkolwiek mniejszościowa, część młodzieży nie została zainfekowana. Młodych jest stosunkowo niewiele – paradoksalna zaleta kryzysu demograficznego. A przede wszystkim możemy się uczyć na błędach Zachodu.

Wyrok TK był w dłuższej perspektywie absolutnie niezbędny politycznie, nie tylko moralnie – potrzebna jest mobilizacja i uświadamianie myślących, że *status quo* może trwać wiecznie. Większość zawsze jest bierna. Większość praktycznie zawsze chce korekt, a nie znaczących przemian. Większość Francuzów nie chciała ścinać króla, większość Rosjan nie chciała obalać cara, większość mieszkańców Zachodu nie chciała apoteozy nihilizmu ani otwarcia na islam.

W tym samym czasie mniejszość rewolucjonistów wytrwale pracowała, przesuwając okno Overtona. Najpierw byli odbierani jako dziwacy, wielu uważało ich wręcz za przeciwskutecznych. Kto 30 lat temu potraktowałby poważnie faceta mówiącego, że czuje się kobietą, więc należy go za taką uznać? Jeszcze w dodatku ścigać prawnie wszystkich mówiących mu, że jest facetem? Lenin też był kiedyś w Szwajcarii uważany za nieszkodliwego dziwaka.

Jedyną drogą jest kulturowa kontrofensywa i promocja własnego pozytywnego programu. Bierność to biała flaga. Pamiętajmy przy tym, że jeden czy drugi zakaz to nie wszystko. Zakazywanie zła bez pokazywania dobra pozwala przedstawiać zło jako dobro. Dlatego potrzebujemy inicjatyw takich jak choćby Marsz Niepodległości czy znakomite kampanie billboardowe pokazujące dobro, jakim jest życie dziecka i dobro, jakim jest stabilna rodzina, jakim są później dla tego dziecka kochający się ojciec i matka. Potrzebujemy tego więcej.

Potrzebujemy angażować w to instytucje społeczne i państwowe – jedne i drugie są potrzebne. Nie należy za bardzo liczyć na Kościół hierarchiczny, przeżarty zepsuciem i złem oraz brakiem wiary prowadzącym do zamieniania go w organizację charytatywną – im wyżej, tym gorzej.

Treści się znajdą. Rewolucjoniści są już na takim etapie barbaryzacji, że oddali nam cały dorobek cywilizacji zachodniej, od katedr po Szekspira i Rembrandta, sobie zostawiając ogłupiające programy i seriale, pornografię, wulgaryzmy o przeciwnikach i krzyczenie „kupa" do mikrofonu.

Musimy tylko pamiętać, że kontrofensywa musi być mądra. Nie należy się porywać z motyką na słońce. Musimy nastawiać się na długie lata, dekady cierpliwego marszu. Musimy być gotowi na to, że będziemy opluwani. Że wielu zdradzi albo się podda. Że będziemy przegrywać bitwy, również te polityczne. Ale możemy wygrać.

fot: wikipedia.commons

Oryginał: https://nlad-kopia1113.instawp.site/rok-po-polskim-maju-1968-dlaczego-co-dalej/

WSPÓŁTWÓRZ NOWY ŁAD

Za Nowym Ładem stoją czytelnicy, którzy dorzucają się do jego istnienia. Dołącz do nich — jednorazowo, w kwocie, która Ci odpowiada.

DOŁĄCZAM

wspieram.nlad.pl

Zeskanuj, aby wesprzeć